

KRZYSZTOF BEŚKA

# KONSUL



KRZYSZTOF BEŚKA

# KONSUL

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA



W głośniku zabrzmiały pierwsze takty *Mazurka Dąbrowskiego*.

Mężczyzna wstał z fotela, zbliżył się do radia stojącego w kącie pokoju i przekręcił gałkę. Rozległo się charakterystyczne stęknienie, a po sekundzie zgasła żarówka, która podświetlała skalę z nazwami miast.

Wyłączenie odbiornika niewiele jednak pomogło. Melodia dobiegała wciąż zza ściany i nie były jej w stanie zagłuszyć ani mur, ani kilka męskich głosów. Należały one do ludzi, którzy zebrali się w mieszkaniu sąsiada, aby wysłuchać przemówienia wysokiego oficera sztabu naczelnego wodza. Pułkownik Umiastowski wzywał mieszkańców Warszawy do kopania rowów wokół miasta i budowania umocnień, które miały zatrzymać pancerne zagony. A mężczyzn zdolnych do noszenia broni, którzy jeszcze nie zostali zmobilizowani, aby udali się na wschód, gdzie wyfasują mundury i broń.

„Cieszę się, że dostaną karabiny, a pewnie skończy się na łopatach!” – pomyślał nie bez złośliwości o sąsiadach, po czym podszedł powoli do okna i odchylił papier, którym kilka dni temu, zgodnie z poleceniem miejscowego szefa obrony przeciwlotniczej, okleił szybę.

Zbliżała się północ, ale choć na ulicy obowiązywały przepisy co do zaciemnienia, z łatwością można było odróżnić

zarysy drzew czy sąsiednich kamienic. Lubił to miejsce i wciąż nie dopuszczał do siebie myśli, że być może wkrótce przyjdzie mu je opuścić. Ani, co dziwne, że na jego kamienicę może spaść niemiecka bomba.

Stary zegar w przedpokoju zaczął wybijać północ. Mężczyzna przeciągnął dłońmi po gęstych, przyprószonych siwizną włosach. Właśnie rozpiął koszulę, gdy rozległo się ciche pukanie. W kilku krokach znalazł się w przedpokoju i zbliżył ucho do powierzchni drzwi. Wtedy pukanie się powtórzyło. Zawodowe przyzwyczajenie kazało mu jednak poczekać, aż gość zrobi to trzeci raz. Jednak zamiast tego ktoś nacisnął klamkę z zewnątrz i jakby nigdy nic wszedł do środka.

Przybyszem okazał się mężczyzna w mundurze kapitana piechoty. Mimo późnej pory i tego, co się działo od niemal tygodnia, wyglądał, jakby za chwilę miał ruszyć nie na wroga, ale... na ba! Lśniące oficerki, nienagannie odprasowany mundur, baretki na piersi, a wśród nich jedyny order – srebrne *Virtuti*.

– Przyjechałeś samochodem? Nawet nie słyszałem... – rzekł bez entuzjazmu gospodarz.

– Samochodem? – prychnął oficer. – Miło pomarzyć. Aż z Rakowieckiej drałuję pieszo.

Po chwili siedzieli w wysokich fotelach na środku największego pokoju.

– Słyszałeś Umiastowskiego? – zapytał gospodarz.

– Tak. Nawet wcześniej niż wszyscy. Przez ponad godzinę ćwiczył dykcję w łazience. – Oficer się zaśmiał i machinalnie dotknął tej części krzyża, na której widniały litery *MILI*. – Poniekąd właśnie w tej sprawie do ciebie przyszedłem.

– Zostanę zmobilizowany czy od razu rozstrzelany? – zapytał gospodarz z dziwnym spokojem.

– Nawet tak nie żartuj! – zachnął się kapitan.

Coś jednak musiało być na rzeczy, bo zaraz podniósł się gwałtownie z miejsca i zrobił kilka nerwowych kroków po pokoju. Mimo że na podłodze leżał gruby wełniany dywan, tupanie wojskowych butów rozniosło się po całym mieszkaniu. A potem zaczęło się oddalać. Gospodarz zaniepokoił się jednak dopiero w chwili, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi wejściowych.

– Co się dzieje? – zawołał, po czym wyprostował się w fotelu, ale zamiast wstać, podniósł do ust szklankę.

– Widziałem dwóch wyrostków, którzy zainteresowali się twoim szyldem przy wejściu do kamienicy – odparł szybko oficer. – Gdy zobaczyli, że nadchodzę, dali drapaką. Nie miałem zamiaru ich gonić, ale jestem pewien, że znalazłbym przy nich coś ostrego. Albo puszkę z farbą.

– Nie rozumiem. – Cywil okazał zaniepokojenie po raz pierwszy od chwili, gdy próg mieszkania przekroczył osobnik w mundurze, a może od jeszcze dłuższego czasu.

– Nie? Naprawdę? A ja myślę, że gdybym nie przepłótył tych gagatków, rano oglądałbyś przy swoim nazwisku namalowaną lub wydrapaną swastykę. Policja ma podobno coraz więcej takich zgłoszeń. Teraz też miałem wrażenie, że ktoś skrobie w drzwi...

Starszy mężczyzna westchnął ciężko, a po dłuższej chwili rzekł z udawaną estymą:

– W takim razie dziękuję, że się pofatygowałeś. I w ogóle...

Kapitan obciągnął mundurową bluzę i poprawił szeroki pas z koalicyjką i kaburą.

– Wczoraj prezydent Ignacy Mościcki opuścił Warszawę, a za dwie godziny to samo zrobi rząd i naczelny wódz – wyrzucił z siebie jednym tchem, chociaż wciąż na granicy szeptu.

– Niestety, nie mamy ani kropli alkoholu, żeby za to wypić. – Mężczyzna rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się przepraszająco.

Oficer nie dał się już jednak sprowokować ani zbić z pantałyku.

– Mam jedno wolne miejsce w samochodzie – powiedział. – Jednak żeby zdążyć, musimy stąd wyjść nie później niż za pół godziny...

Zamiast odpowiedzieć gospodarz wstał i podszedł do okna.

– Czy pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy? – zapytał. – Teraz mamy jeszcze lato, a wtedy był środek jesieni. To chyba jedyna różnica. Najzabawniejsze jest to, że w obu przypadkach Warszawa miała pewien mały problem.

– Tak. Był to problem z niemieckimi żołnierzami...



# PROLOG

## 1

– Ruszaj się, szybko! – dobiegło od drzwi mieszkania chwilę po tym, jak skrzypnęły zawiasy i umilkł tupot butów.

Oba te dźwięki dobrze znał odbiorca polecenia, a był nim siedzący przy kuchennym stole ciemnowłosy szczupły chłopak. Pewnie dlatego spokojnie podniósł łyżkę do ust i przełknął porcję zupy jarzynowej. Nie przepadał za nią. Teraz jednak zrobił minę, jakby w swym piętnastoletnim życiu nie próbował niczego lepszego. Miał w tym swój cel.

– Usiądź i zjedz trochę – powiedział, mieszając łyżką w brei, nad którą unosiły się jeszcze smużki pary, po czym, wciąż nie podnosząc wzroku na przybysza, rzekł półgłosem: – Matka bardzo się starała o te warzywa.

– Nie jestem głodny – zadeklarował przybysz, wciąż dysząc; drogę na trzecie piętro kamienicy pokonał biegiem, ulicą zresztą bynajmniej nie szedł spacerkiem.

Był na oko dwa, może trzy lata młodszy od tego, któremu przeszkodził w jedzeniu obiadu. Mimo jesiennej pory miał na sobie tylko granatową szkolną marynarkę i przykrótkie porcięta. Wełniany, robiony na drutach szalik wystawał z bocznej prawej kieszeni, a jeden z jego końców niemal dotykał ziemi. Na twarzy chłopaka wykwitły rumieńce, coś się więc musiało naprawdę stać.

Ale siedzący przy stole jakoś wciąż nie przejmował się ani widokiem, ani tym, co przed chwilą posłyszał. Spokojnie przelknął jeszcze trzy łyżki zupy, po czym znów spojrzął na młodego.

– Naprawdę się nie skusisz, Adasiu? – zapytał.

– Powiedziałem, żebyś się ruszył! – powtórzył z mocą chłopak.

Ale o tym, że nie jest tak pewny swego, poświadczyło nerwowe przestępowanie z nogi na nogę. Jak również to, że jedną rękę wsunął do kieszeni marynarki, tej niezajętej przez szalik, i dalej obracać tam palcami. Starszy chłopak znał dobrze te odruchy. Widział je zawsze, ilekroć tamten coś przeszkobał. Nie mogło być zresztą inaczej, byli wszak rodzonymi braćmi. A kieszeń młodego o tej porze roku mogły wypełniać tylko kasztany zebrane przed paroma tygodniami, bo wówczas zaczęły spadać z drzew ku uciesze najmłodszych, a potem po prostu zapomniane.

– Józek, nie rób mi tego! – jęknął wreszcie Adaś, zdradzając tym samym, że przyszedł, a raczej, pamiętajmy o tym, przebiegł tu po prośbie, a następnie wyrzucił z siebie z siłą i prędkością karabinu maszynowego: – Rozbrajamy szkopów. Widziałem studenciaków z Legii Akademickiej, peowiaków i tych ważniaków z Sokoła, do którego na wiosnę zapisali się Małeccy. Całe grupy krążą po mieście i wypatrują okazji... Zwyczajni ludzie też!

Łyżka wypadła Józkowi z ręki, kilka zielonych i pomarańczowych kropel rozbryznięto się po stole. Zaciśnął pięść. I zęby przy okazji, dlatego zdanie, które wypowiedział, wypadło bardzo groźnie, choć jednocześnie dość spokojnie. Tak zresztą miało wypaść: